

JORG

- Drapko... - słowo to odbija się niczym echo w głowie Jorga Szymika, który przemierza kolejne metry asfaltowej ścieżki tarnogórskiego parku miejskiego tak szybko, jak tylko pozwalają mu na to prawie dziewięćdziesięcioletnie nogi dotknięte artretyzmem.

To jest kolejna próba ucieczki Jorga z domu seniora „Gwarek” przy ul. Wyszyńskiego 31 w Tarnowskich Górach. Jak na schorowanego staruszka doskonale potrafił wykorzystać nieuwagę pracowników. Przed kilkoma minutami wyszedł niepostrzeżenie głównym wejściem, gdy pielęgniarzka i woźny byli zajęci udzielaniem pomocy staruszce, która upadła. Zrobiło się zamieszanie, uwaga wszystkich skupiła się na poszkodowanej. Nikt nie pilnował drzwi. O dziwo nie były zamknięte na klucz. To był dobry moment. Jak dotąd nie udało mu się opuścić domu opieki na dłużej niż pięć minut. Dziś miał widocznie więcej szczęścia.

Cel Jorga już dawno został jasno sprecyzowany: cmentarz przy kościele św. Józefa, pierwsza aleja po lewej stronie od bramy bocznej, rząd czwarty, trzeci nagrobek licząc od lewej. Tak dawno tam nie był. Odkąd został zamknięty w domu opieki przestał być panem własnego losu. Już nie on decyduje o sobie, ale robią to za niego inni ludzie. Oni wiedzą, co dla niego jest najlepsze, co robić powinien, a co jest zabronione. Przede wszystkim nie wolno mu opuszczać budynku. A on czuje, że musi to zrobić, bo zostało mu niewiele czasu...

Dochodzi godzina dwunasta. W domu seniora to czas obiadu. Może więc personel i współlokatorzy będą zajęci jedzeniem i tak szybko nie zauważą jego zniknięcia? Zaczną go szukać dopiero po obiedzie, kiedy zorientują się, że nie pojawił się w stołówce. Oby! To da mu wystarczająco dużo czasu.

Tymczasem lipcowe słońce świeci wysoko na niebie, jego promienie zalewają świat, nie mając litości dla starego ciała Jorga. Nie są w stanie powstrzymać ich nawet gałęzie drzew o gęstych koronach sięgających nieba. Powietrze jest gęste, trudno złapać oddech. Już dawno w Tarnowskich Górach nie było tak wysokich temperatur. Każdy szuka cienia, by choć na chwilę odpocząć, ale nie Jorg. On nie ma na to czasu. Musi myśleć o realizacji swojego celu.

W tej chwili Jorg Szymik jest niczym José Arcadio Buendia, który przemierza dżunglę w poszukiwaniu swojego Makondo. Jest uparty i zdeterminowany. Nie może sobie pozwolić na niepowodzenie, bo od realizacji tego zadania zależy tak wiele! Ale Jorg nie zna ani Buendi, ani Marqueza, ani nawet Sienkiewicza, nie mówiąc już o Tokarczuk czy Twardochu, bo w swym długim życiu nie mógł pozwolić sobie na luksus zatopienie się w lekturze. Jorga można śmiało nazwać człowiekiem pracy i to ciężkiej pracy. Jego dzieciństwo przypadło na okres II wojny światowej. Ojca powołali do wojska. Matka została właściwie bez środków do życia z piątką dzieci do wykarmienia. Od dzieciństwa musiał więc pracować, żeby pomóc mamie i młodszemu rodzeństwu, żeby zagłuszyć głód i nie dać się wciągnąć w otchłań biedy. Był najstarszym dzieckiem, więc czuł, że ma taki obowiązek. Trochę lepiej było, gdy ojciec wrócił do domu. Głodować przestali, kiedy Jorg dostał pracę na kolei. Ponad pięćdziesiąt lat przepracował jako maszynista pociągów towarowych. Sam wybudował dom na osiedlu Kolejarzy w Tarnowskich Górach, pielęgnował ogród i sad, hodował gołębie, pomagał synowi i wnukom. Jego życie do niedawna było nieustanną pracą i ruchem. Nie mógł pozwolić sobie na chwilę bezruchu. „Ruch to życie” – sam często mawiał i tego uczył swojego syna.

Wszystko zmieniło się, kiedy trafił do domu opieki. Jego świat jakby stanął w miejscu a on sam stał się bezużytecznym trybikiem w mechanizmie rozpedzonej maszyny. Teraz już nic nie zależy od niego, na nic nie ma wpływu. Stał się niedołącznym starcem uzależnionym od pomocy innych ludzi. Z tą świadomością nie jest mu łatwo żyć. Czuje się po prostu niepotrzebny a ta myśl sprawia mu ból.

Mimo upału Jorg ubrał dziś ciemnobrązowy garnitur i białą koszulę. Chciał być elegancki. Pielęgniarki z domu seniora podczas śniadania spojrzały na niego pobłaźliwie. One nic nie rozumieją! Myślą zapewne, że to fanaberie starego człowieka. Ale Jorg doskonale wie, co robi.

Teraz pot sływa po skroniach, plecach, nawet nogach starca. On jednak zdaje się tego nie dostrzegać, podobnie zresztą, jak nie zauważa twarzy rozbawionych dzieci biegających bez troski aleją Kaganków i zerkających z zaciekawieniem w jego stronę. Teraz nie liczy się dla niego nic poza jego celem. Wszystko inne rozplywa się w niebycie, zdaje się po prostu nie istnieć.

Czy uda mu się zrealizować to, co zamierza?

Słońce na moment chowa się za chmurami, by po chwili wyłonić się ponownie. Tym razem zdaje się być jeszcze bardziej bezlitosne i okrutne dla zmęczonego ciała Jorga. Kobieta w średnim wieku spogląda zaciekawiona w jego stronę i uśmiecha się życzliwie, ale Jorga nie ma już na alei Kaganków w tarnogórskim parku. Znajduje się w karczmie, jednej z wielu, jakie na początku lat 50. XX wieku funkcjonowały w Tarnowskich Górach. Jej nazwy – mimo usilnych starań – nie może sobie przypomnieć. Nie pamięta też ulicy, przy której się znajdowała. Jedyne, czego jest pewien to fakt, że jest lato (prawdopodobnie koniec lipca), z pewnością nie tak upalne, jak tegoroczne. Muzykanci grają od godziny a Jorg – dwudziestokilkuletni dobrze zbudowany i całkiem przystojny brunet – stoi pod ścianą, ręce ma splecione z tyłu i patrzy przed siebie. Nie ośmiela się podejść do żadnej z dziewcząt i zapytać czy z nim zatańczy. Wrodzona nieśmiałość paraliżuje go, nie pozwala ruszyć się z miejsca. Stoi więc i obserwuje.

I nagle pojawia się ona: długi blond warkocz, letnia błękitna sukienka, na stopach sandały i ten uśmiech, od którego nie może oderwać wzroku. Jest po prostu piękna. Poza tym bije od niej jakiś blask, który przyciąga jego wzrok. Jorg stoi jak urzeczony, nie śmiąc wykonać żadnego ruchu, boi się, że gdy chociaż drgnie któryś z jego mięśni, ona nagle zniknie, okazując się tylko wytworem jego wyobraźni. Jest taka delikatna i ulotna, wręcz nierealna, jakby utkana z wiatru i promieni wiosennego słońca. Zdaje się, że mężczyzna przestaje na moment oddychać. Słyszc tylko głośne i coraz szybsze bicie swego serca, które zagłusza nawet muzykę w jego głowie. Gdyby tylko mógł, powiedziałby: „Chwilo trwaj”. Zatrzymałby czas już na zawsze, by móc na nią patrzeć tak, jak teraz.

Dziewczyna wbiega z powrotem na parkiet i wiruje w tańcu z innym. Śmieje się głośno, ma zaróżowione policzki. Można się było tego spodziewać... Jorg czuje ogromne rozczarowanie, które rozlewa się w jego wnętrzu, sprawiając mu ból, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył. Obraca się na pięcie i kieruje swe kroki w stronę drzwi. Już ma opuścić karczmę, od wyjścia dzieli go zaledwie kilka metrów, gdy nagle czuje, że ktoś kładzie dłoń na jego ramieniu. „Kto to?!” – myśli. Szybki obrót i cały wszechświat spowalnia na moment, a on znajduje się w samym jego centrum. To ona! Dziewczyna w błękitnej sukience stoi przed nim i uśmiecha się nieśmiało. Na chwilę spuszcza wzrok. Jej policzki płoną, jego serce również.

- Jo je Anecka. Zatańczujes zy mną? – pyta, nie przestając patrzeć w jego oczy.

- Ja – odpowiada cicho.

- A jak ty sie nazywos? – pyta i uśmiecha się do niego.

- Jorg... Jorg Szymik.

I tyle rozmawiają tego wieczora. Słowa zastępuje im ruch ich ciał zgodny z rytmem wygrywanym przez muzykantów. Zatawiają się w tańcu. Jorg nie wie czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy tylko mu się śni. Jeśli to sen, nie chce się z niego wybudzić. Czas zdaje się dla nich nie istnieć, podobnie jak ludzie wokół. Kiedy muzyka ucicha, ona znika tak nagle, jak się pojawiła. Jorg zaczyna nawet myśleć, że to, czego doświadczył przed chwilą było tylko pięknym złudzeniem. Ale to nieprawda. W dłoni trzyma czerwoną wstążkę, którą ona mu podarowała. Zaciska ją mocno, jakby bał się, że jedyny dowód na jej istnienie niepostrzeżenie odfrunie niczym motyl a on zostanie sam już na zawsze. Nigdy nie słyszał o czymś takim, jak miłość od pierwszego wejrzenia, ale poczuł, czym ona jest i to z całą mocą. Jednego jest pewien – jego życie już nie będzie takie jak dawniej.

Od tej pory Jorg w każdą sobotę przychodzi do szynku na potańcówkę tylko po to, żeby się z nią zobaczyć. Ze swoją Aneczką, bo tak zaczyna ją nazywać a ona uśmiecha się, gdy tak do niej mówi. Potem wszystko – ku jego zdumieniu – toczy się bardzo szybko.

- Anecko, czy ty... Czy ty i jo... No wiys... - mamrocze.

- Ja Jorg, byda twoją babą. Weznymy ślub w kościele Piotra i Pawła w Tarnowskich Gorach a potym bydymy zyli dugo i scyńśliwie, choby w bojce.

- Ja Anecko, tak bydzie – potwierdza Jorg święcie przekonany, że inaczej być nie może.

Już ma ją pocałować, gdy nagle na powrót staje się staruszkiem z dziewięćdziesiątką na karku, arytmia serca i astmą w stanie zaawansowanym. Znów jest niedołącznym, nikomu niepotrzebnym człowiekiem, który ma świadomość, że jego kres nastąpi już niedługo. Nie jest to przyjemne uczucie, ale tak musi być. Stare pokolenie odchodzi, żeby zrobić miejsce nowemu. Tak było od wieków i nic tego nie zmieni. Jorg doskonale zdaje sobie sprawę z takiego stanu rzeczy.

Przymyka oczy, próbuje w myślach policzyć, ile to już lat żyje bez niej, swej ukochanej Aneczki. Dwadzieścia? Trzydzieści? Nie, prawie czterdzieści... To niemożliwe... A jednak.

W 1983 roku jego Anna Szymik z domu Godula złamała daną przed laty w karczmie obietnicę. Diagnoza została postawiona bardzo szybko: rak. To dziwne, jak to krótkie słowo może zmienić ludzkie życie. Jorg pamięta, jakby to było wczoraj: wszystkie wizyty w tarnogórskiej „Trójce”, potem radioterapię w Gliwicach, rozpaczliwe próby znalezienia lekarza, który okaże się silniejszy od przeznaczenia, który będzie posiadał niezwykłą moc i uzdrowi ją. Jej cierpienie wypisane na twarzy, łzy, które starała się przed nim ukrywać, żeby go nie martwić. Jego żal do Boga: dlaczego mu to zrobił, dlaczego dał mu ją a teraz zabiera? Dlaczego jest taki okrutny? Dlaczego karze go tak srodze? Przecież tak nie można... Ona niczemu nie zawiniła. Była taka dobra, nikomu nie zrobiła krzywdy.

Jorg nigdy wcześniej ani nigdy później nie czuł się tak bezsilny jak wówczas. Gdyby tylko mógł, oddałby własne życie, by ona mogła wyzdrowieć. Ale nic nie mógł zrobić, by ją wyrwać z objęć śmierci. Pozostało mu tylko trwać przy niej dniami i nocami, nie bacząc na zmęczenie i rozrywający go od środka ból spowodowany niemocą oraz patrzeć w te jej wielkie niebieskie oczy i zanurzać się w nich niczym w ciepłych wodach oceanu. Te chwile dawały mu ukojenie.

Anna zmarła we śnie, trzymając męża za rękę.

- Anecko, camu mie zostawiyaś? Mieli my zyc dugi i scyńśliwie. Tak mi obiecałaś wtedy w synku a potym w kościele przed Ponbockym... - rozpaczal Jorg.

Bez niej jego życie płynęło dalej, ale on nie był już tym samym człowiekiem. Przestał się uśmiechać, nic nie sprawiało mu takiej radości, jak dawniej. Na tym świecie trzymały go tylko piękne wspomnienia wspólnie przeżytych chwil, które przechowywał w sercu i starannie pielęgnował przez te wszystkie lata. Lubił wieczorami siadać w fotelu i wspominać te wszystkie szczęśliwe momenty. A było ich wiele. Anna tak często śmiała się, cieszyła ją drobiazgi. Potrafiła dostrzegać we wszystkich ludziach piękno i dobro. To ona nauczyła go jak być człowiekiem wrażliwym, to ona pokazała mu, że radość można znaleźć również w wydarzeniach dnia codziennego. Nie potrzebowała do szczęścia wiele. Jorg lubił też wyjmować stare albumy i przeglądać starannie poukładane i opisane przez żonę fotografie.

Potem zaczęło się z nim dziać coś dziwnego. W jego głowie powstawały puste przestrzenie, luki, wspomnienia nagle się urywały a Jorg bezradnie próbował je ponownie odnaleźć, ale nie potrafił. Ten stan irytował go coraz bardziej. Znów poczuł bezsilność. W jego głowie rozpoczął się jakiś proces, którego on nie rozumiał i nie był w stanie zatrzymać, a ten pędził jak rozpędzony pociąg.

Jorg przymyka oczy. Pierwszy raz poczuł nieopisany strach, kiedy nie mógł sobie przypomnieć imienia wnuczki. Pamięta doskonale jej płacz, kiedy spadła z nowego roweru i zbiła łokieć, jej śmiech, kiedy wspólnie oglądali Misia Uszatka, euforię, gdy podarował jej pierwszą lalkę Barbie na urodziny, ale imię utoneło na zawsze w oceanie niepamięci, znikło i Jorg rozumie, że żadna reanimacja już nie pomoże.

- Oo, tyn moj gupi łeb, co sie z niym wyrobio? – powtarza w kółko to samo pytanie.

Imię wnuczki utracił bezpowrotnie, ale strach pozostaje i z każdym dniem pogłębia się coraz bardziej i bardziej. Rozrasta się niczym grzybnia, zagarniając coraz to nowe przestrzenie w jego głowie, odbierając mu to, co ma najcenniejszego - wspomnienia. To one łączą go z przeszłością i z Anną. Nie może ich utracić.

Swoją drogą, jak dziwna jest ludzka pamięć. Nie mamy przecież większego wpływu na to, co zapamiętujemy, a co bezpowrotnie tracimy. Niby jest z nami nierozzerwalnie związana, jest częścią nas, a rządzi się swoimi prawami, bywa bezlitosna. Czasem wraz z upływem lat wracają do nas obrazy z przeszłości, stając się jeszcze bardziej intensywne, by przypominać o tym, co chcielibyśmy wykasować na zawsze a wywołać może je błahostka: zapach, smak, skojarzenie. Wiele wspomnień jednak ginie i nie mamy na to wpływu. Najsmutniejsze jest to, że tak szybko wymykają się nam ludzkie twarze. Z biegiem lat rysy najbliższych tracą ostrość, jak wyblakłe fotografie. Powoli zacierają się, aż w końcu widać jedynie cienie... Tak właśnie jest w przypadku Jorga. Dodatkowo demencja niczym podstępny złodziej kradnie mu całe fragmenty życia z przeszłości. Twarz ukochanej żony powoli traci ostrość, oczy nie mają już dawnego blasku a usta nie są tak czerwone jak kiedyś. Gdyby tylko istniał lekarz-czarodziej, który potrafiłby cofnąć ten proces albo chociaż go spowolnić... Teraz najbardziej boi się, że zapomni o istnieniu swojej drugiej żony. Doskonale wie, że to będzie jego koniec, bo on, Jorg Szymik nie może istnieć bez NIEJ.

Jorg czuje oddech śmierci na karku, dlatego wie, że nie wolno mu zwalniać kroku, musi iść prosto przed siebie. Musi iść, choć nogi odmawiają posłuszeństwa. Do tego pojawia się ostry ból w kolanie, tak silny, że przez chwilę myśli, że nie utrzyma dłużej równowagi. Przystaje na kilka sekund. I jeszcze ten nieznośny upał... Dlaczego to słońce jest tak okrutne? Czyżby i ono chciało go ukarać?

Nagle krzyk.

- Co to było? – pyta sam siebie.

To dziecko. Rozpędziło się na hulajnodze i upadło. Jorg wpatruje się w tę scenę i wstrzymuje oddech. Na jego twarzy rysuje się ból. Nie widzi już leżącego na ziemi chłopca z krwawiącym kolaniem, ale wciąż ma w uszach krzyk przeszywający duszę. Krople potu okraszają jego skronie coraz hojniej. Puls przyspiesza. Krzyk nie znika, jest coraz głośniejszy, wręcz nie do wytrzymania... Za chwilę rozsadzi mu głowę.

- Niyh to sie wrescie skońcy... - prosi.

Każdy fragment jego ciała przeszywa nieznośne klucie. Nie potrafi zapanować nad tym, co podsuwa mu pamięć.

Jest 4. dzień października 1978 roku. Mają z żoną rocznicę ślubu. Ona tak bardzo chce, żeby poszli razem do restauracji, bo tak rzadko razem wychodzą, bo dom, bo praca, bo obowiązki... Ale Jorg ma w tym dniu drugą zmianę. Co prawda mógł poprosić kolegę, żeby się z nim zamienił, ale tego nie zrobił. Nie chciał sprawiać mu kłopotu. Zawsze taki był – starał się, żeby innym dogodzić, ale o sobie nie myślał. Tym razem zrobił to kosztem żony.

Idzie więc w tym dniu do pracy. Ma kurs do Opolu. Trzeba przewieźć ważny załadunek. Wciąż ma przed oczami nadąsaną twarz Anny. Głupio mu z tego powodu, ale praca to obowiązki a on lubi wykonywać je sumiennie, bo tego nauczyli go rodzice.

Czas ciągnie się nieubłaganie. Ma wrażenie, że kieruje pociągiem już od wielu godzin. Oczy zaczynają go piec. Najchętniej położyłby się i zasnął. Wie jednak, że musi być czujny. Walczy więc ze zmęczeniem. Godziny płyną wolno. On wciąż myśli o żonie. Koła pociągu monotonnie uderzają o szyny: stuk-puk, stuk-puk, stuk-puk... Nic nie zapowiada tego, co zdarzy się punktualnie o godzinie 21:36.

Wszystko toczy się tak nagle, że Jorg chyba do końca nie zdaje sobie sprawy z tego, co się dzieje. Ktoś wyłania się z mroku - postać przypominająca widmo. Mężczyzna około czterdziestoletni wbiega na tory. Skąd się tam wziął?! Są przecież w środku lasu. Wokół panuje nieprzenikniona ciemność, która próbuje się wedrzeć dosłownie wszędzie. Nieznajomy nerwowo rozgląda się, robi krok do przodu, znów cofa się, wciąż się waha. Jest oszołomiony. Jorg chwytą za hamulec, szarpie ze wszystkich sił, daje sygnał dźwiękowy, krzyczy na całe gardło. Mężczyzna ani drgnie. Teraz stoi wyprostowany i wpatruje się w światła nadjeżdżającego pociągu.

- Chopie, co ty wyrobios! Uciekej, drapko! Uciekej!!! – woła, jakby to mogło pomóc.

Ale jest już za późno. Jorg nie miał szans wyhamować na czas przy tak dużej prędkości. W końcu nagrany śmiertelny potwór zatrzymuje się. Wokół bucha gorąca para, miesza się z szarą mgłą. Jorg wyskakuje z paszczy mechanicznego monstrum i biegnie tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał żywy mężczyzna o przerażonych oczach. Przecież przed chwilą jeszcze żył, oddychał, pocił się, pewnie się bał ... Kim był? O czym myślał? Czy ma bliskich, którzy będą po nim płakać? Jorg przymyka powieki, ma wrażenie, że czas stanął w miejscu. W głowie zaczyna mu pulsować, serce to przystaje, to znów bije jak szalone. Najchętniej nie otwierałby oczu już nigdy, ale musi sprawdzić, co z nieznajomym.

Obraz, który wyłania się przed nim zostanie w nim już do końca życia. Po młodym mężczyźnie zostaje niewiele, ludzka miazga a winę za to ponosi on, Jorg Szymik, maszynista o nienaganej opinii, wielokrotnie stawiany za wzór kolegom po fachu. On, który nie potrafi nawet zabić karpia na Wigilię Bożego Narodzenia, więc kupuje już wypatroszonego w sklepie rybnym w Piekarach Śląskich. On, który nigdy nikogo nie uderzył, który nikomu nie chciał sprawić przykrości. On stał się mordercą! Przynajmniej tak o sobie zaczął myśleć i ta myśl czepia się go jak natrętny owad, który atakuje w najmniej spodziewanym momencie i w nocy spać nie pozwala.

Nawet teraz, gdy demencja postępuje u niego z każdym dniem, obraz zmiażdżonego ludzkiego ciała przyklejonego do zimnych metalowych szyn wciąż z nim jest, niczym tatuaż, którego nie można zmyć.

Jorg powoli zmierza już do końca alei Kaganków. Aż dziw bierze, że jeszcze nikt nie biegnie za nim i nie woła: „Panie Jerzy, gdzie pan jest? Dokąd pan idzie? Proszę z nami wracać!”. Widocznie opiekunowie z domu seniora mają inne problemy na głowie. Staruszek widzi wysoki mur, wie doskonale, że za nim jest nekropolia – cel jego wędrówki. Musi tam dojść. Jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów... Gdyby tylko nie to słońce... Jest mu coraz trudniej oddychać. Ma wrażenie, że jego ciało jest zamknięte w twardej skorupie utrudniającej poruszanie się. Chciałby ją rozbić na miliony kawałków i uwolnić się, ale nie potrafi. Nie ma sił...

Tak bardzo pragnie, aby teraz ktoś przy nim był, ktoś, kto go zrozumie a nie skrytykuje. Odkąd stracił żonę jego najlepszą towarzyszką okazała się samotność. Początkowo łaknął jej jak powietrza. Z czasem zrozumiał, że jest jeszcze potrzebny najbliższemu. Sytuacja zmieniła się z domu opieki. Tu też czuje samotność, ale inną, bo połączoną z niezrozumieniem. Nie można liczyć na ludzi, dla których nic się nie znaczy. Był po prostu jednym z wielu starych ludzi.

Przystaje na moment. Znow przymyka oczy i na chwilę nie widzi drzew, muru i bramy..., ale jest w Piekarach Śląskich. Co roku pielgrzymował tu w lipcu do Matki Boskiej Piekarskiej. Doskonale pamięta, jak przed laty ojciec powtarzał, że ślubowana pielgrzymka tarnogórzan to obowiązek, który trzeba wypełnić:

- Synek, pamiętaj, że ta naso pońc je fest staro. W 1676 roku na Gorach wybuchła zaraza. Wielu ludzi wtedy pomarło. Jezuici pedzieli, że ca iść do Piekor i błagać Marija, coby ta zaraza sie cofła. Tak ludzie zrobili i choroba ustompiła. To Maryja sie za nami wstawiła u Ponbocka i musimy ji co roku dziynkować. Zapamiętaj sie to i obiecej mi tu, że co roku bydzies pielgrzymował do Piekor.

Ojciec był dla Jorga autorytetem i wszystko, co powiedział miało dla niego wartość. Poza tym nie wolno złamać raz danego słowa. I tak Jorg co roku pielgrzymował najpierw z ojcem, potem z młodszymi braćmi, a następnie z żoną i synem Karlikiem. Lubił atmosferę tego miejsca. Nie miała dla niego znaczenia pogoda – szedł w upale i w deszczu po to, by móc uklęknąć przed obliczem Piekarskiej Pani i powiedzieć jej, że jest tu przy niej, że przyszedł tu dla niej.

- Najświyntso Paniynko, jo Jorg jestym tu u ciebie, coby ci podziynkować za to, żeś cofła zaraza. Jestym tu, bo tak zech ślubował.

Potem szedł na piekarskie wzgórze. Brał rozkładane krzeselko i siadał zawsze w tym samym miejscu, pod tym samym drzewem, blisko ołtarza. Śpiewał ile sił w piersiach, żeby Maryja dobrze go słyszała. Dziękował, prosił. Powierzał troski, dzielił się radościami.

Brał udział w pieszej pielgrzymce siedemdziesiąt sześć razy. Szedł dopóki nogi mu pozwalały, a kiedy artretyzm powoli uniemożliwiał mu sprawne poruszanie się, prosił wnuka, żeby go zawiózł samochodem do Piekar, bo musi wypełnić obietnicę złożoną ojcu i Piekarskiej Pani.

Poszedł nawet po śmierci Anny, choć całe jego ciało buntowało się na samą myśl o tym. Przecież tak bardzo prosił, żeby ona wyzdrowiała a Bóg go nie wysłuchał. Pozwolił, by cierpiała.

Ten ostatni raz, gdy był na piekarskim wzgórzu pogoda dopisała. Słońce grzało prawie tak jak dziś. Stał i powtarzał słowa modlitwy, aż nagle cały świat zaczął wirować przed jego oczami a potem pochłonęła go ciemność. Upadł na ziemię, nawet nie poczuł bólu. Złamał rękę, gdy uderzył o pień ściętego drzewa. Po tym wydarzeniu wnuk nie chciał nawet słyszeć o tym, żeby zawieźć go do Piekar Śląskich. A on – słaby starzec – nie umiał mu się przeciwstawić. Zresztą i tak nikt nie chciał go już słuchać.

Otrząsa się z zamyślenia. Właśnie mija bramę cmentarną i wodzi wzrokiem po najnowszych nekrologach. Morze nagrobków wyłania się przed nim. Ktoś go mija, pozdrawia cicho. Jorg nie zwraca uwagi na młodą dziewczynę o zapłakanych oczach.

Jego czas powoli kończy się a on ma tego świadomość. Przez moment czuje silne klucie w klatce piersiowej, szumi mu w uszach i w głowie. Nogi odmawiają posłuszeństwa, nie może ruszyć się z miejsca. Serce bije jak oszalałe. Szybko otrząsa się z tego stanu. Rusza przed siebie. Doskonale widzi cel: Anna Szymik, urodzona w 1933 roku, zmarła w 1983 roku. Pod spodem zdanie: „Odeszłaś z naszych oczu, ale z serca nigdy”. Na nagrobku czarno-białe zdjęcie – jej uśmiechnięta twarz. Siada na ławeczce, opiera głowę o trzonek laski i z trudem łapie powietrze.

Przed jego oczami przesuwają się różne obrazy: widzi zmęczoną do granic możliwości i zlaną potem twarz żony tuż po porodzie. Następnie ktoś podaje mu zawiniątko: to jego syn Karlik. Ma takie same oczy jak matka. Jorg jest szczęśliwy.

Ta scena szybko znika a wraz z nią błogi stan, który ogarnął jego duszę. Teraz Jorg jest na cmentarzu, ale nie w Tarnowskich Górach a w Żyglinie. Właśnie grzebią jego kolegę z pracy. 48 lat. Zawał.

Nie ma czasu, żeby zatrzymać się na dłużej, bo obraz znika. Idzie teraz do kwaciarni, kupuje goździki dla żony. On oma urodziny, chyba trzydzieste. Przypomina sobie uśmiech starej kwaciarki. I jej słowa: „Wasa baba, to się mo z wami dobrze. Mie to od ślubu chop nigdy nic niy kupioł”.

Mija kilka sekund i jest w parku tarnogórskim, ale nie sam. Spaceruje z wnuczką. Natalka, tak ma na imię! Teraz sobie przypomniał. Dziewczynka znika...

W tej chwili kieruje pociągiem. Na tory wbiega człowiek. „Uciekej! – rozlega się w głowie Jorga. Jest już za późno. Człowiek znika pod kołami pociągu... W sercu powstaje silny ból, który rozlewa się na każdy centymetr jego starego ciała.

Jorg jest oszołomiony tymi obrazami. Dopiero po chwili zbiera myśli i jest w stanie wypowiedzieć słowa:

- Ana, moja Anecko, udało sie. Pedziołzech ci, ze sam do ciebie przida. Ana, jo wiyim, ze juz niydugo przidzie na mie koniec. Powydz mi czy ty mi przebocys, ze wtedy... w ta nasa rocnica ślubu, jo zech poszed do roboty? Anecko, wyboc...

Łzy płyną po jego pomarszczonych policzkach i powoli spadają na suchą ziemię, by połączyć się z nią i zniknąć.

- Wyboc Anecko, ze jo zech zabiol cłowieka – powtarza wciąż.

Jorg ponownie czuje ostry ból w klatce piersiowej. Kuli się i ze wszystkich sił próbuje złapać oddech. Czuje, jakby ogromna niewidzialna ręka złapała go za serce i mocno je ścisnęła. Ból narasta, z każdą sekundą staje się coraz większy, aż... ustępuje. Przed oczyma widzi ciemność. Świat wokół niego znika. Nie ma już cmentarza, nagrobka żony, ławeczki. Jorg nie czuje nic. Jakby ktoś nacisnął magiczny guzik i wyłączył dopływ bólu w jego ciele. Widzi postać, niczym na prześwieślonej kliszy, która powoli zbliża się do niego. Jest to kobieta. Wyciąga do niego ręce. Jorg myśli początkowo, że to pielęgniarka z domu seniora go znalazła, ale... ona ma przecież twarz Anny, jego Anny. „To niy moze być” – myśli.

- Anecko, to richtig ty? – pyta.

Ona odpowiada mu uśmiechem.

- Anecko, czy ty mi wybocys? No wiys...

I znów ten serdeczny uśmiech. Jorg po raz pierwszy od tak dawna czuje się naprawdę szczęśliwy. Podaje Annie rękę, wstaje i razem ruszają przed siebie. Znikają artretyzm, astma, ten nieznośny ból i strach... Ogarnia go błogi spokój. Jest mu tak dobrze, jak przed laty w karczmie, kiedy spotkali się po raz pierwszy i kiedy jego serce poczuło, co to miłość. Pomyślał wówczas, że chciałby zatrzymać czas, by ten stan trwał wiecznie, by ona była blisko już na zawsze. Teraz poczuł dokładnie to samo. Chciałby, aby tak było już na zawsze.

- Józefie, martwię się o pana Jerzego. To nie jest jego pierwsza ucieczka, ale nigdy jeszcze nie zginął nam z oczu na tak długo – mówi zdenerwowana siostra Aniela do woźnego.

- Ma problemy z poruszaniem się, przecież nie mógł odejść daleko – woźny próbuje panować nad emocjami.

Przeszukali już wszystkie zakamarki w domu seniora. W końcu stwierdzili, że Jorg pewnie opuścił budynek. Rozpoczęli poszukiwania w parku.

Czas mija nieubłaganie a Jorga nigdzie nie ma. Po chwili pielęgniarka dodaje:

- Ostatnio nie czuł się najlepiej, miał wysokie ciśnienie, tabletki nie pomagały. Poza tym już dawno powinien dostać kolejną dawkę insuliny. Jakby tego było mało, to słońce mogłoby powalić nawet młodego silnego mężczyznę! A on jest schorowany! Mam złe przeczucia...

- Spokojnie, nie mógł przecież rozplynać się w powietrzu – uspokaja ją woźny.

Przez chwilę idą w milczeniu.

- Przetrasaliśmy już cały park. Może poszedł na cmentarz. Pochodzi przecież z Gór, więc pewnie ktoś z jego bliskich jest pochowany na cmentarzu Józefa albo na komunalnym. Może tam poszedł? – to rzekłszy pielęgniarz przyspiesza kroku.

Po chwili przekraczają bramę i wchodzi na cmentarz przy kościele św. Józefa. Rozglądają się nerwowo na wszystkie strony.

- Tam jest, szybko! – woła zdenerwowana pielęgniarzka.

Biegną w miejsce wskazane przez Anielę. Jorg leży między grobami z głową skierowaną ku ziemi.

- Co mu jest? Czy on...? – woźny zawiesza głowę.

Pielęgniarzka fachowo zabiera się do udzielania pierwszej pomocy. Sprawdza tętno i zamiera. Sprawdza jeszcze raz i kolejny. Kręci głową. Nie może powstrzymać łez, które powoli spływają po jej policzkach.

- Tak – odpowiada cicho.

- Trzeba zadzwonić po pogotowie – szepce woźny. – Miał jakąś rodzinę? Trzeba ich powiadomić.

Aniela przytakuje. Przez moment milczy. Wpatruje się w twarz zmarłego.

- Józefie, niech pan spojrzy, pierwszy raz widzę uśmiech na jego twarzy. Zawsze był taki smutny i przygnębiony, jakby dźwigał na barkach jakiś ogromny ciężar. Już wiem, dlaczego tak bardzo zależało mu, żeby tu przyjść. Anna Szymik urodzona w 1933 roku... To pewnie jego żona. Chciał być blisko niej w ostatnich chwilach swego życia... Jestem pewna, że gdziekolwiek teraz jest, na pewno jest szczęśliwy.